21. Lipca. Nr. 34. 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca (cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

Z podróży

przez

J. GORDONA.

I.

Godzina druga po północy ozwała się spiżowym jękiem z wyniosłych wieżyc i kopuł Paryża. Wspaniały gród zaczął przybierać barwę smutną, ciemnym przyodziany płaszczem. Pozamykano już sklepy, magazyny, znikły światła w oknach i portykach; gdzieniegdzie tylko lekki turkot powozu, wrzawa wychodzących studentów z kawiarni przerywała ciszę; milczące postacie policjantów przesuwały się na chodnikach.

Tymczasem na placu Vendome postępował powolnym krokiem samotny przechodzień.

Kapelusz miał naciśnięty na czole i wspierał się laską. Spiżowa figura Napoleona I. sterczała przed nim poważnie jak czarne widziadło. Nagle księżyc wychylił z po za szmaty chmur blade oblicze, a cień cesarskiego pomnika roztoczył się na płaszczyźnie.

Mały człowiek nieboszczyk, jaki wielki niekiedy rzuca cień po śmierci!

Nieznajomy zatrzymał się na tem miejscu, spojrzał na ów podłużny, fantastyczny cień roztaczający się u nóg jego, niby umarły sztandar dumy; potem zwrócił się ku zachodowi, pomarzył, niewyraźne szepty urywanych słów konały mu na ustach, i smętny jak noc co go otaczała postąpił dalej. Tak zatopiony w rozmyślaniach mijał pałace, szeregi latarń, zmierzając do części miasta, gdzie zwykli zamieszkiwać myśliciele i pracujący biedacy.

Na placu Odeonu, na poddaszu jednego z domów, przez otwarte okno błyszczało jasne światełko. Z przyległej ulicy grono rozkosznych, strojnych francuzek powracających z zabawy, roznosiło śmiechy, szczebiotanie, wśród woni pachnideł ulatniających się z ich trefionych włosów.

— Jestem paryżanka — jestem wolna — zarabiam pięć franków dziennie — niech żyje Francja! — wołała żartobliwie jedna, a inna nuż jej przyklaskiwać.

Potem na zaułku ulicy znikł ten orszak niewieści, podobny do sennego panorama.

Ale przechodzień nasz stał na placu i wpatrywał się pilnie w okno gdzie błyszczało światełko.

— Henryku! — zawołał — Henryku!

Nic mu nie odpowiedziano, nikt nie wyjrzał z góry.

— Przebóg! cóż to za czarowne, anielskie dźwięki... lecz w tej porze... cóżby to znaczyło?... on jeszcze nie śpi... biedny Henryk, biedny choć ukochany marzyciel, im tkliwszy tem nieszczęśliwszy.

I przechyliwszy głowę, wsparty na kiju, nieznajomy słuchał tych boskich tonów, ukochanego marzyciela jak go nazywał. Skrzypce już ucichły, on ich jeszcze słuchał, milczący, nieruchomy, podobny do posągu zachwycenia. Brzmiały one w jego sercu, choć umilkły dla ucha.

Po krótkiej chwili muzyka się znów ozwała; ale na ten raz była to wielka melodja, niby Mozartowska, potężna jak organ kościelny, przeplatana szczególnem przejściem, urywana westchnieniami, żegnającemi wszystko co się ma najdroższego, żegnającemi wszechświat cały.

Nieznajomy zdumiał się — podniósł głowę, gdy blask latarni oświecił twarz jego bladą, wzrok badawczy, promieniejący, wlepiony w okienko i głuchą boleść zawisłą na ustach. Potem nagle, jakby pchnięty siłą niewidzialną, nadprzyrodzoną, poskoczył do kamienicy, pociągnął za drut od dzwonka, a gdy się drzwi rozwarły, wbiegł na wschody, nie zwracając uwagi na szemranie odźwiernego.

Ujrzał się nakoniec zadyszany w komnacie swego przyjaciela, zatopionego w muzyce; nic nie widzącego oprócz złocistej siatki z gwiazd rozsianych na ciemnem sklepieniu niebios, nic nie słyszącego oprócz silnych jęków własnej duszy, płaczących na drzących pod smykiem strunach.

Przybyły nie omylił się w domysłach gdyż był wieszczem. Tam, gdzie ludzkie nie dosięgło oko, czego rozum doścignąć nie zdołał, tam przenikało jego serce, uczucie. Zrozumiało ono, że z dźwiękami Henryka całe jego ulatało istnienie, jak ostatni płomień z buchającej lampy.

Na stoliku w izbie leżało kilka listów z czarnemi pieczątkami. Snać Henryk za życia odbywał swój pogrzeb; — leżała nadto rozprawa Platona o nieśmiertelności duszy i odwiedziony pistolet.

Poeta wzdrygnął się na ten widok i postąpił z cicha do przyjaciela.

— Henryku! — rzecze łagodnie, biorąc go za ramię — Henryku, wracamy do Ojczyzny, do Ojczyzny... czy słyszysz?...

Na magiczny wyraz ›Ojczyzna‹ artysta ocknął się gdyby lunatyk co powraca do świata rzeczywistego, obrócił się, spuścił oczy, zadumał, brzemienna chmura przesunęła się na jego wyniosłem czole i dwie wielkie łzy stoczyły się powoli po zaklęsłych policzkach.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — odpowie stłumionym głosem — mówiłeś coś Bolesławie o Ojczyźnie. Lecz nie dość poruszać, nie dość łzy wyciskać; na toś jest wieszczem, byś nam wskazał bracie, jaką iść drogą by wolność uzyskać...

— Ależ Henryku, uspokój się mój najdroższy... bo widzisz...

— Wspomniałeś mi o Ojczyźnie — przedłużał dalej — Ojczyzna... Ojczyzna... ha! ha! ha! I gdzież ona dzisiaj? powiedz Bolesławie!

— Ojczyzna? w tobie Henryku i wśród tych z którymi spokrewniony jesteś wielkim duchem, czuciem! Ojczyzna tam wśród ziomków rozprószonych w krainach lodowatych, pracujących przy kagankach kopalń — Ojczyzna tu pośród naszych współtowarzyszów broni, którzy słuchają prawd głoszonych z trybun, gotując się do ważnych przeznaczeń — Ojczyzna pośród milionów nie zepsutego ludu polskiego, — Ojczyzna, nagroda dla wszystkich co dla niej cierpieli.

Henryk machinalnie padł na sofę, starł pot z czoła i wsparł je na ręku, pochylone pod ciężarem myśli i utrudzenia. Bolesław wydobył z kieszeni gazetę i odczytał mu ustęp o reformach galicyjskich, o objęciu namiestnictwa przez rodaka, o nadziejach dla kraju i jego manifestacjach. Następnie ujął dłoń przyjaciela, uścisnął ją tkliwie i dodał: Wszak pojedziemy?...

— Ach! te formy bezduszne, te samolubne manifestacje — rzecze z goryczą Henryk potrząsając głową. Sama forma, to poganizm! poganizm walczący dziś z chrześcianizmem, element zniszczenia...

— Boć życie całe jest walką, Henryku. Nawet w pośród śmierci żyć potrzeba i szerzyć życie w miejscach spustoszenia. Poganin umrzeć może, chrześcianin nigdy!...

— Tak! chrześcianin nigdy... prawda... ale czy znasz ty z bliska nowożytnych Faryzeuszów...

— Przestań Henryku! przestań! zaklinam cię na Boga... piołunem przesiąkły twe płuca...

— O! muszą to być skończeni niegodziwcy, skoro Zbawiciel orzekł o nich że...

— I na co ten jęk rozpaczy?... Rozpacz jest zawsze złym doradcą. W Bogu nadzieja... cierpliwości tylko, a wolność nam zabłyśnie...

— Ha, ha, ha!... Rozpacz? — to drobnostka, przelotne uczucie, stokroć znośniejsza od pragnienia. Nadzieja? — hasło niewolników. A wolność? — umrzeć za nią można, łatwo... wolnym być niepodobna — zawcześnie.

— Ach! patrz na sprawę okiem historyka... nie bierz nieszczęść tak gorąco do serca... bracie mój!

— Mamże być obojętnym? Trup tylko może nim być. Siła życia i obojętność nie znoszą się wzajemnie.

— No, jeśli mię kochasz marzycielu luby to przestaniesz narzekać... Rozdrażniony jesteś nieszczęśliwem położeniem. Precz z żalem nie męzkim!... on rycerzom nie przystoi... a jutro wyruszymy do Polski. Nie odstąpię cię odtąd ani na chwilę.

Nastąpiła pauza uroczystego milczenia, w końcu dwaj przyjaciele uścisnęli się na nowo. Ranek zastał ich pogrążonych we śnie, atoli dłonie ich nie rozstały się z sobą.

Nazajutrz obadwa byli już w podróży. Henryk po strasznem wstrząśnieniu moralnem czuł się jeszcze utrudzonym, a milczenie jego zdawało się być tęsknotą, modlitwą, jaką słał do Stwórcy. Bolesław szanował te godziny przejścia z jednej epoki żywota do drugiej, i kiedy niekiedy tylko kilkoma słodkiemi wyrazy niósł pociechę przyjacielowi.

Dwaj wędrowcy przybywszy do Strasburga postanowili zatrzymać się aby zwiedzić katedrę.

— Gdzie tu mieszka ksiądz Maliszewski? rzecze jeden z nich do nadobnej dziewczynki, zbliżając się do świątyni.

— Właśnie dopiero widziałam prałata Polaka o którego pytasz — jest jeszcze w kościele.

— Pójdź Henryku! obaczysz postać ziomka, o którego obcierały się w przebiegu dzieje narodu naszego, podobnie jak o tę przeźroczystą, wystrzeloną ku niebu, gotycką wieżycę obcierały się wieki.

Gdy wędrowcy wstąpili do świątyni, była niemal pustą — tam i owdzie tylko okazywała się jeszcze klęcząca niewiasta w kornem wezbraniu ducha. Niebo dnia tego było ołowiane i zmrok panował w świątyni. Gorzała lampa przed wielkim ołtarzem. Płaskorzeźby świętych zdawały się nosić krepowe całuny na obliczach, a z kamienia wystrzygane fryzy w czarne koronki ubrane.

W głębi nawy postępował obok filarów poważny staruszek, którego można było wziąć za cień, co się wysunął z grobowca Karolowingów, stojącego po za nim otworem.

Pod ciemnem sklepieniem grobowca, migotały blade płomyki, jakoby dusze chodziły.

Nasi podróżni zbliżyli się z uszanowaniem do starca i nie omylili się w przeczuciu: była to chodząca tradycja w osobie księdza Maliszewskiego. Kapłan ów dowiedziawszy się o celu ich pielgrzymki, ze łzą w oku udzielił im błogosławieństwa, a pokazawszy wszystko, co było najgodniejszego uwagi w starożytnym przybytku, odprowadził do kolei.

W ciągu drogi wywodził z właściwą sobie erudycją pochodzenie rozmaitych narodów. Wszystkie powstały z kości Polaków, wszędzie według niego byli Polacy — zamieszkiwali nawet w raju — Adam i Ewa urodzili się niezaprzeczenie ze szczepu polskiego.

Wypada ztąd, że i Pan Bóg był i jest Polakiem!

Poczciwy Maliszewski! Pociąg już ruszył i był daleko, artyści przesłali już ostatnie skinienie na znak pożegnania, a jeszcze rysowała się na tle powietrznem sylwetka staruszka z kapeluszem w ręku, nieruchomego, patrzącego za odjeżdżającymi braćmi. (D. n.)

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

Scena IV.

KONSTANTY (*sam*).

Z pogardą dla mnie? O matko, kobieto!
A jabym przecie był padł na kolana,
Gdybym był dojrzał, że tobie podnietą
Miłość, a w sercu córka ukochana!
Byłbym w proch upadł, błagał przebaczenia;
Lecz nie! do dziecka serce nie zadrżało,
Tylko sąd świata, to powód cierpienia!
O, to na matkę za mało, za mało!
A wreszcie pójdę i Zofji zapytam,

Może chłód matki był tylko pozorny?
Gdy potwierdzenie z oczu jej wyczytam,
To będę jeszcze, o, będę pokorny.
(*Wychodzi*).

Źmiana sceny:

(*Pokój w domu Radcy jak w akcie II. scenie I., porządniej umeblowany*).

Scena V.

KAMILA, ADAM.

ADAM.
Szczęśliw pan radca posiadaniem ciebie!

KAMILA.
Szczęśliwy mówisz? dzisiaj się już chmurzy.

ADAM.
Chmurka w przelocie na pogodnem niebie.
Zresztą, niech stary jedno oko zmruży,
Młodą ma żonę, młodą, więc wesołą.

KAMILA.
Sądzisz, żeś uśpił wszelkie podejrzenie?

ADAM.
Nie, ale stawić przeciwnościom czoło,
Na to za słaby; choć każde spojrzenie
Zwrócone ku mnie, dzikie, wyiskrzone.
Ja czekam śmiało, lecz czegoż on czeka?

KAMILA.
Bo jemu nie szło widocznie o żonę,
A o wiernego szło w domu człowieka;
Czyż takie życie, to szczęśliwe życie?

ADAM.
A! tak się skarząc, jesteś dla mnie srogą,
Com cię uwielbiał wpierw jawnie, dziś skrycie.
Wszakże nie jedną i dziś chwilę błogą
Spędzamy razem; to cię nie pocieszy?

KAMILA.
Ale to zbrodnia.

ADAM.
Dziś cały świat grzeszy,
A potem prawi do drugich perorę;
Nie jeden mówi: Co komu do tego,
Że we mnie wszystko skrzywione i chore,
Kiedy zachęcam drugich do dobrego;
A jaką drogę, gdzie to dobro wskażę,
To już rzecz moja.

KAMILA.
I ty więc tak samo?

ADAM.
Ja? — nigdy, za nic świata nie oskarżę;
Każdemu w życiu wolno chodzić bramą,
Którą obierze. — Moja wierność szczera!
Choć, jak ja, człowiek, z żalu nie umiera.

Scena VI.

KAMILA, ADAM, PANI NAŁĘCZ.

PANI NAŁĘCZ (*do Kamili*).
Gdzie mąż twój, dziecko?

KAMILA.
Mamo, takaś blada.

PANI NAŁĘCZ.
Gdzie radca, mówię, bo interes pilny!
(*Zwracając się do Adama*).
Albo — w tej mierze jaka pańska rada?
Pan byłeś zawsze, zawsze nam przychylny,
Poradź że teraz, czy skargą, czy prośbą
Mam Konstantego do upamiętania
Skłonić, o powiedz!

ADAM.
Jego skłonić groźbą? —
U niego wszystko rzeczą przekonania.

KAMILA.
Mamo, a Zofja?

PANI NAŁĘCZ.
O! gdybym wiedziała
Gdzie on ją ukrył, ten człowiek szalony.

ADAM.
Szalona głowa, prawda, ale śmiała.

PANI NAŁĘCZ.
Jeszcze u radcy poszukam obrony.
Moja Kamilo! jeżli mąż nie w domu,
Wyszlij po niego.

KAMILA
O, zaraz to zrobię.

ADAM.
Ja, żegnam panie.
(*Kamila poprzód, Adam wychodzi za nią*).

Scena VII.

PANI NAŁĘCZ po chwili ZŁOTKOWSKI.

PANI NAŁĘCZ.
Ach! komuż dziś, komu
Zawierzyć śmiało, gdy ten, który sobie
Zjednywał ludzi — zawiódł dobrą wiarę —
On, ten Konstanty, co święte zasady
Głosił, a tylko czyhał na ofiarę,
O! jakże dzisiaj świat pełen szkarady!

ZŁOTKOWSKI
(*wchodzi z lewej, spostrzegłszy panią Nałęcz zamyśloną, podchodzi bliżej i mówi*).
Smutek twój pani coś nie dobrze wróży.

PANI NAŁĘCZ.
Możesz tak mówić, znając me strapienie?
A ja sądziłam, że pan mi usłuży
Radą...

ZŁOTKOWSKI.
Ja pani?...

PANI NAŁĘCZ.
Mej córki zbawienie
Mówiłeś przecie, to cel twego życia.

ZŁOTKOWSKI.
Tak było... dzisiaj... zmieniły się rzeczy,
Zmienili ludzie... Pojmuję strapienie,
Ale... honoru nie mam do pozbycia.

PANI NAŁĘCZ.
Do matki mówisz!...

ZŁOTKOWSKI.
Pani nie zaprzeczy,
Że tę rzecz biorę z tego stanowiska,
Jak się przedstawia; i mało się zyska
Rzecz przekręcając.

PANI NAŁĘCZ.
Nikczemna istoto!
Ty, któryś matce jakąś mądrość wieku
Doradzał zawsze i wynosił złoto
Nad wszystko, wszystko najświętsze w człowieku,
Ty, śmiesz tak mówić? O! człowieku podły!

Nie sądź mi dziecka, nie sądź, bo nikczemnie
Twoje mię tylko namowy uwiodły,
Lecz serca matki ty nie wydrzesz ze mnie!
Ja teraz bronię, ja, czynu i dzieci. —
Jak czasem chwila błądzących oświeci.

ZŁOTKOWSKI.

Słowo honoru! nie ja sąd wydałem,
Pan Adam mówił, jego, ją spotwarzał...
Słowo honoru!... zaprzeczyć nie śmiałem,
Alem ja tylko, co on rzekł, powtarzał.

PANI NAŁĘCZ.

Pan Adam mówił? — O! biedneż wy dzieci!
I to przyjaciel Konstantego? Biedni. —
O! biegnę do was — niech matki nie szpeci
Nic w oczach waszych. O! wy teraz jedni,
Od których nadal nic mię nie oderwie. —
O! ten przyjaciel!

(*Wychodzi spiesznie*).

Scena VIII.

ZŁOTKOWSKI po chwili RADCA.

ZŁOTKOWSKI.

Na starość warjacja! —
Stracona Zosia, — ale mam w rezerwie
Sekretarzównę, bo przecież nie racja,
Że nią pogardził Konstanty szalony!
Wszak ona ładna, miła, bardzo miła!
Jakoś tak łatwo poszukać dziś żony.

RADCA

(*wchodzi ponury, z pochyloną głową i mówi nie widząc Złotkowskiego*).

Ha! ta obłudna siwy włos shańbiła!
A jam mej hańby sam przyspieszał chwilę;
Wyrabiam indult... dni siedem... nie całe...
I oto głowę pohańbioną chylę,
Bo mi wstyd siebie!

(*Spostrzegłszy Złotkowskiego*).

To ty, ty kuzynie!

ZŁOTKOWSKI.

Co tobie bracie?

RADCA.

Kochanek mej żony
Wkrótce już może po mieście zasłynie,
A ty mię pytasz?...

ZŁOTKOWSKI.

Ale...

RADCA.

Ja shańbiony!
Shańbiony jestem, bezsilny i stary.

ZŁOTKOWSKI.

Czyżby Kamila?...

RADCA.

Tak jest! i milcz, proszę!
Tej krzywdy nie znasz. Jad mściwej poczwary
Przez hańbę w piersi ja na starość noszę!

ZŁOTKOWSKI.

Droga rozwodu...

RADCA.

Rozwód nie ukarze
Tego panicza, nie umniejszy męki;
Krwi nie utoczy i hańby nie zmaże.

ZŁOTKOWSKI.

Sędzia tak mówi?

RADCA.

O! gdybym mej ręki
Dzisiaj mógł użyć, jakbym nie znał prawa,
O! gdybym nie był dziś tych praw piastunem —
Byłaby jeszcze dziś ta ręka krwawa,
Dziśby jej gacha okryła całunem!

(*Po chwili namysłu* — *nagle*).

Ha! gdyby syn mój! — on mię pomścić może,
Bez stanowiska... onby mógł... On przecie
Dla mnie coś zrobi, gdy się upokorzę.

(*Wychodzi spiesznie*).

ZŁOTKOWSKI.

Czy ty się trochę nie cofnąłeś świecie,
Bo z wielu ludźmi, dziś, prawdziwe cuda!
Tamta — dość niegdyś rozsądna kobieta...
I oszalała! — I temu się uda
Fiksacja, ręczę. — Że jakieś sekreta
Ma żona młoda, to on, człek dostojny,
Człowiek lojalny, ścisły legalista,
Z człowiekiem miłym, uprzejmym — chce wojny!
I niechże z tego zły świat nie korzysta? —
Chybaby równie jak oni sfiksował,
By aż na sądny dzień ten kąsek chował.

Koniec aktu czwartego. (D. n.)

CZWARTY LIPCA W BOSTONIE

czyli

PRZYGODY BEN'A JONES

przez

H. TRUSTA.

Tłumaczyła T. D.

— Spodziewam się, że skończysz tę robotę w ciągu tygodnia? — rzekł pan Morton do Ben'a Jones.

— Skończyłbym łatwo, panie, gdyby nie czwarty — odpowiedział Ben — wszak pan wie o tem, że święciłem zawsze wiekopomną pamiątkę wyswobodzenia się naszego.

— Coż myślisz robić w tym roku? Tu nie będzie publicznych uroczystości.

— Wiem o tem; powinniby się za to wstydzić! Gdy przyjdzie wydać dollar'a, to tak, jak gdyby im kto zęba wyrywał. Ale mnie to nic nie obchodzi. Pojadę z żoną do Bostonu zobaczyć sztuczne ognie.

— Coż zrobisz z rodziną?

— O! wezmę ją z sobą; mam tylko dwoje dzieci, jak pan wie, a chłopczyk może już sam biegać. Gdyby tylko nie było za gorąco... Czy widział pan kiedy sztuczne ognie, panie Morton?

— Bardzo często.

— Ja nigdy nie widziałem. Czy takie ciekawe jak mówią?

— Warto je widzieć.

— Tak też sobie wyobrażałem, i bardzo dawno obiecałem mojej żonie, że ją zawiozę do miasta na to widowisko. Przypuszczam, że to nas wyciągnie na szalone wydatki, ale będziemy za to trochę więcej pracować za powrotem...

Prześliczna jutrzenka zapowiedziała czwartego lipca. Słońce wstało całe czerwone z po za wzgórz, i rozpoczęło swój obieg na niebie bez chmurki. Białe stokrótki

podniosły doń główki swoje wilgotne od rosy nocnej, a potoki harmonji trysnęły z pomiędzy liści, witając zjawienie się jego.

— Będziemy mieli bardzo piękny dzień — rzekł Ben Jones.

— Bardzo piękny — powtórzyla żona — myślę, że dobrze zrobiemy, jeśli pojedziemy o ile można wcześnie.

— Tak. Mówiono mi, że lokomotywa nigdy nie czeka na nikogo, więc trzeba żebyśmy przyjechali wcześnie, inaczej miejsca nie dostaniemy!...

Ben ubrał się natychmiast w swój najpiękniejszy ubior niedzielny. Żona jego szczególnie czuła się dumną na widok jego fraka z grubego błękitnego sukna, trochę krótkiego w stanie, ozdobionego pozłacanemi guzikami; była przekonaną, że ten frak nadawał jej mężowi minę prawdziwego gentleman'a. Zrozumiecie więc zdziwienie jej, gdy ujrzała Ben'a zrzucającego swój frak błękitny i naciągającego kurtkę nankinową.

— Co robisz? — zapytała.

— Nie mam ochoty upiec się, dziś będzie tak gorąco jak w dzień wyborów.

— Nie pojadę z tobą jeśli weźmiesz tę kurtkę. Jaką minę miałbyś w Bostonie? Wzięliby cię za majtka.

— Jabym się za to nie obraził.

— A mnieby to przykrość zrobiło.

— Mój Boże! jeśli ci ma to zrobić przykrość, nie włożę tej kurtki...

Ben był najpoczciwszym człowiekiem. Włożył swój gruby frak błękitny. Matka ubrała dzieci; Tim zaprzągł konia do wózka, podczas gdy Ben przygotowywał śniadanie. Było to dobre śniadanie, złożone z kawy i śmietanki, jaj i masła, wieprzowiny na zimno i kartofli, placków ze słoniną i tortu z jabłek, — i była to szczęśliwa rodzina ta, która zasiadła do stołu, żeby je spożyć. Słońce wschodzące nie widziało gromadki szczęśliwszej między wszystkiemi, których oświecało tego pięknego poranku.

Nasi przyjaciele zjedli śniadanie na prędce, bo ciągle zdawało się im, iż słyszeli świst lokomotywy, i w końcu zawnioskowali, że trzeba już koniecznie wyruszyć w drogę.

Tim układał dzieci na wózku, a Ben Jones zamykał drzwi domu na klucz, gdy mu przyszła raptem myśl świetna!...

— Niech mnie wilk schrupie, jeśli nie dobrze zrobię wziąwszy z sobą starą cebulę dziaduniową.

— Na co? — spytała żona. — Nie potrafisz mu na to poradzić, żeby mógł iść.

— Mnie się zdaje, że potrafię; wiem jak się do tego wziąć!... będzie szedł jeśli nim potrzęsę od czasu do czasu.

Ben wrócił więc żeby wziąć stary zegarek srebrny, i nastawiwszy go, włożył do bocznej kieszeni. Gdy wrócił, żona jego znalazła z zadowoleniem, iż tasiemka jedwabna i kluczyk stalowy, które błyszczały na piersi Ben'a, bardzo były stosowne do niedzielnego ubrania. Tak była zajętą piękną miną swego męża, że ujechali więcej jak pół mili nim spostrzegła, że Ben zostawił torbę podróżną biorąc zegarek.

— Zostawiłeś torbę Ben'ie — zawołała — a nie możemy się bez niej obejść, w niej są wszystkie graciki dziecęce.

— Daję słowo, prawda! — zostawiłem. Otoż dobra sztuka! Pobiegnij do domu Tim... Nie, spóźnilibyśmy się. Jedźcie wy sobie dalej, ja sam pobiegnę po torbę i dogonię was wkrótce.

Ben był o tyle rozważnym, iż zdjął swój frak błękitny, nim puścił się na tę wycieczkę. Tim wiózł powoli. Stary Dob, którego wędzidło nie było zbytecznie ściśniętem, chwytał tu i owdzie garść koniczyny lub stokroci nad drogą ku wielkiej radości dzieci. Było dla nich prawdziwą przyjemnością pobudzić go do biegu po tych małych wykroczeniach; dziewczynka wywijała dużym batogiem, a młody Ben potrząsał lejcami, które rączki jego zaledwie objąć mogły.

Tim i pani Jones patrząc na nich, śmieli się z całego serca, — zdawało się, iż motyle także się tem bawiły, bo latały z obu stron żółtemi skrzydełkami swemi, nigdy się nie oddalając, a ptaszki im towarzyszyły, przelatując z drzewa na drzewo i śpiewając wesoło. Jakiś koncept młodego Ben'a bardzo godzien uwagi, był powodem wybuchu wesołości całego towarzystwa, wśród którego stary Ben dogonił je. Sapał jak koń wyścigowy, a pot spływał wielkiemi kroplami z jego czoła, ale niósł torbę i był zadowolony, iż dogonił swoją gromadkę. Widząc, iż wszyscy śmieją się, zaśmiał się także nie wiedząc z czego. Może przyjaciele nasi nie mieli weselszej chwili przez całą resztę tego dnia.

— Która godzina? — spytała pani Jones.

— Siódma — rzekł Ben potrzęsając starym zegarkiem. — Do licha! przyjedziemy bardzo późno. Timie, wieź nas tak prędko jak tylko można, a ja tymczasem ochłodzę się.

Stary Dob biegł też najprędzej jak tylko mógł, a gdy przyjechali do stacji, było co do minuty kwadrans na ósmą na zegarze kolei żelaznej. Według chronometru dziadunia, ujechali nie mniej jak trzy mile w pięć minut.

Pociąg nie odchodził nigdy przed ósmą, a tego dnia prawdopodobnie miał wyjść później, ale stacja była już przepełnioną, i rodzina Jones nie mogła dobić się do wnętrza. Pani Jones usiadła nad drogą, lecz dzieci okazały się tak ruchliwemi jak młode cielęta, i nóżki ich ciągle coś ciągnęło do tych niebezpiecznych relsów, których matka na równi, więcej nawet obawiała się jak nabitej strzelby. Przytrzymywany za pasek młody Ben mocno się oburzył, iż go nie zostawiono w pełnej swobodzie w dniu czwartego lipca. Zaczął krzyczeć ze wszystkich sił i chciał koniecznie, żeby mu było wolno przewracać się w piasku. Matka oznajmiła, iż nowe ubranie czyniło to rzeczą niepodobną; dla przywrócenia pokoju, ojciec był zmuszony nosić chłopca przez długą godzinę. Tymczasem rydwan słoneczny toczył się dalej na swej jasnej drodze, a koła jego, zdawało się, rzucały płomienie. Ben zaczynał znajdować, iż jego frak błękitny jest niezmiernie niewygodnym.

— Gdyby nie żona — szepnął do siebie — byłbym włożył moją kurtkę; ale nie ma na to rady — w wagonie będzie mi pewnie mniej gorąco. Wkrótce rozpoczął gawędę ze swojemi sąsiadami, a ci opisywali mu tak świetnie sztuczne ognie, że entuzjazm jego rozbudził

się na nowo, zapomniał o obecnych nieprzyjemnościach dla nadziei przyszłej zabawy.

Tymczasem żona jego siedziała na piasku, pod żarem słońca, rękawiczki jej zaczynały już tracić kolor pierwotny, rozwiązała wstążki swego kapelusza, żeby je uchronić od podobnego losu, mała jej parasolka słabą była ochroną dla niej i córeczki. Dob stojąc w cieniu sąsiedniego domu, jadł szczaw i miętę, a był dotąd najszczęśliwszym z całej gromadki, pomimo przymusu do ruchu zbyt przyśpieszonego, któremu był uległ.

Nakoniec przyjemny świst maszyny dał się słyszeć w oddaleniu. W tej chwili każdy rzucił się ku drodze, żeby umieścić się najpierwej. Ben'owi tak było pilno, że chwycił i dzieci i torbę, a żonie nie pozostawało nic innego do roboty, jak tylko pilnować, żeby mali nie wpakowali się pod koła. Popychano się i śpieszono; powstało zamieszanie nieopisane aż do chwili, gdy wszyscy umieścili się w pełnych już wagonach. Ben znalazł tylko jedno miejsce na całą swoją rodzinę i zostawił je swojej żonie.

— Weź małą i torbę — rzekł — będę stał koło was z chłopcem i z biletami. — Po godzinie spaceru na upale, po długiej wycieczce pieszej stać z dzieckiem na rękach aż do Bostonu było męczącem nawet dla człowieka tak silnego jak Ben! Jednak zachował cały swój dobry humor, i tym którzy przechodzili koło niego, w próżnej nadziei, iż znajdą miejsca gdzie dalej — rozdawał w małych dozach słowa pociechy:

— Tu jeszcze można się zmieścić, jeśli pan nie znajdzie miejsca gdzieindziej. — Trzymaj dobrze kapelusza sąsiedzie, a jakoś to będzie; wierz mi. — Tak pani, tu jest zbywające miejsce, możemy się jeszcze ścisnąć. — To tylko raz w rok się zdarza — rzekł do jednego z rzędu; — pozwól im pan wejść, i postępujmy jako dobrzy sąsiedzi. — Niech pan na to wszystko nie zważa — rzekł do osłabionego starca — wesprzyj się pan na mnie, wprawdzie panu niewygodnie, ale to niedługo potrwa, wkrótce będziemy u celu. Zaraz będziemy tak lecieć jak wiatr.

Ale pociąg nie szedł tak szybko jak Ben się spodziewał. Zatrzymywano się na wszystkich stacjach, i wszędzie liczny tłum oczekiwał już. Za każdym nowym najściem Ben wybuchał śmiechem tak ogromnym, za którym szło tyle tak zabawnych wykrzykników, że śmiech jego pobudził wszystkich na około do podzielania jego wesołości. Bawił szczególnie jedną damę, która siedziała obok jego żony.

— Pan musisz być zmęczonym — rzekła do niego. — Czy chcesz pan żebym wzięła jego chłopczyka na ręce?...

— Bardzom wdzięczny pani, aleź łotrzyk taki dziki z nieznajomemi, że nie zechce.

— Siędziesz na kolana tej pani?

— Nie!...

— O! to nic nie znaczy, wiedziałem dobrze, że odmówi. Dziecię to boi się wszystkiego. Szczęściem zaraz dojedziemy.

— O nie! — rzekła dama. — Nie ujechaliśmy nawet połowy drogi, i więcej jeszcze jak pół godziny jechać będziemy.

— Golly! będę pamiętał ten dzień — rzekł Ben do swej żony, śmiejąc się głośno.

— Może — zagadała znów nieznajoma — może dziewczynka zechce przyjść do mnie, a matka będzie mogła wziąć chłopczyka.

Widocznie chciała ulżyć Ben'owi. Dziewczynka przeszła chętnie na kolana damy, a Ben, uwolniony od swego ciężaru, wyciągnął oba ramiona, tak daleko jak tylko mógł sięgnąć.

— Żono — rzekł — ten chłopiec jest porządnie ciężki, chcę go zważyć jak tylko wrócimy do domu.

Na stacji następnej dodano do pociągu kilka próżnych wagonów i znalazło się miejsce dla wszystkich. Ben siadł koło drzwiczek naprzeciw żony, i nie mając już niedogodności, na któryby mógł wesołość swą doświadczać, zaczął się bawić ze swoim chłopcem. Wziął kapelusz słomiany, który okrywał jego główkę, bawił się z nim w chowanego i skończył na tem, że trzymał kapelusz za oknem, jakby chciał go wyrzucić. Raptem zerwał się wiatr i chwycił kapelusz, który poleciał na prawdę.

— Do licha! E! O! — Poczekajcie! — Czy widział kto kiedy taką szybką jazdę? — Kapelusza już nie widać.

— Poczekajcie! — zawołała żona wychylając głowę z okna — zatrzymajcie się proszę.

— To byłoby daremnem — odezwała się sąsiadka — jesteśmy już o pół mili od tego miejsca gdzie wypadł kapelusz.

— Ktoby temu uwierzył? — rzekł Ben. — No, mój mały, będziesz musiał chodzić z gołą głową.

— Był całkiem nowy! — rzekła żona — otóż koniec twoich szaleństw — i zaczęła płakać.

— Otoż masz! — zawołał Ben. — Co pomoże płakać gdy mleko na ziemi? Kupimy jemu drugi, jak tylko przyjedziemy do Bostonu. Czy to warto sobie psuć krew dla takiej małej rzeczy; kapelusz od początku był za mały dla niego. Chodź, zawiążę ci moją chustkę na głowie.

Ben wyjął z kieszeni chustkę bawełnianą czerwoną, i zawiązał ją na jasnych kędziorach swego syna.

— Patrz żono! — rzekł — czy mu tak nie ładniej jak w kapeluszu?

— Tak, bardzo mu w tem do twarzy — zauważała sąsiadka pani Jones. — Powinnibyście państwo kazać odmalować portret jego w tym stroju.

Komplement ten uspokoił matkę, i łzy jej przestały płynąć.

Niczem jest odległość dla lokomotywy, wtedy nawet gdy idzie powoli. Przyjaciele nasi przyjechali więc do Bostonu, i wkrótce uczuli się jakby zgubieni wśród tłumu przepełniającego miasto. Ben miał dość trudu nim się pozbył furmanów.

Było coś widać w jego fiziognomji co ich przyciągało, bo przypuścili szturm do niego ze wszystkich stron. — Weźmie pan ten fiakr? — Może pan zechce wziąć ten powóz? — Dobrze pana powiozę...

Ben z początku tylko śmiał się, a potem wytłumaczył się grzecznie, z powodów, dla których wolał iść piechotą.

— Nie, — dziękuję bardzo, mamy dwa kroki do celu, idziemy teraz tylko do naszego krewnego. — Ale gdy zoba-

czył przed sobą jednego jegomości, który poprzestawał na rozdaniu kilka razów rączką parasola, po głowach usłużnych furmanów, to mu było nauką i przerywając tłumaczenia swoje, ograniczał się na kiwaniu głową przecząco. Furman jakiś uparty poszedł za nim aż do bocznej ulicy -- Proszę pana, ma pan fiakra.

— Mówię ci że go niechcę — odpowiedział Ben.

— Dobrze pana powiozę... niech pan siada, czy są pakunki?

— Pakunki żywe tylko.

— Gdzie jedziemy panie?

— Do mego krewnego na ulicy T...

— Dobrze panie! wiem gdzie mieszka, to na drugim końcu miasta, wiozę tam pana prosto.

— Więc bardzom ci wdzięczny za twoją grzeczność. Wsiądziemy kiedy tak gdy prosisz usilnie. Przypuszczam, iż nic za to nie weźmiesz.

— Nic, tylko jednego dollara.

— Dollara! do licha! Tego przynajmniej jestem pewny, że nie zapłacę ci go prędzej, aż gdy odkryję pole, na którem dollary rosną.

— Czy liczyłeś na to przypadkiem, że powiozę cię darmo głupcze jakiś? — rzekł furman.

— Twoja wina — odpowiedział Ben — powiedziałem ci odrazu, że niechcę twego fiakra, a ty pomimo to uczepiłeś się mnie jak pijawka.

Furman łając oddalił się, Ben i rodzina jego poszli dalej, niebardzo dobrze wiedząc w jaką stronę mają kierować swe kroki. Mijając róg stacji, spotkali damę, która z nimi mówiła w wagonie. Zasłona jej kapelusza była podniesioną w tej chwili, a Ben pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej damy.

— Gdzie państwo idziecie? kupić kapelusza dla synka? — zapytała z wdzięcznym uśmiechem.

— Taki miałem zamiar z początku, potem rozważyłem, że lepiej pójść pierwej do kuzyna. Mieszka na ulicy T...

— To prawie tak daleko ztąd jak Roxbourg. Najlepiej państwo zrobicie jeśli pójdziecie kupić kapelusza na ulicy Washington, wsiądziecie potem do omnibusa, który was zawiezie na ulicę T. za dziesięć centymów.

— Dziesięć centymów! a ten drągal chciał odemnie dollara! Niech go Bóg ma w swojej opiece!

Dama uśmiechnęła się i biorąc za rękę chłopczyka z czerwoną chustką, który się już jej nie obawiał — ja idę w tę samą stronę — rzekła: — Chodźcie państwo zamną...

Żona Ben'a mocno się tem ucieszyła i stała się bardzo rozmowną.

Zwierzyła się pięknej damie we względzie rzeczywistego stanu swojej garderoby i zapytała ją, coby też mogła sobie kupić najstosowniejszego z pomiędzy wyrobów na lato, na suknię niedzielną. Dama zainteresowała się, jak się zdawało jej projektami i poradziła jej, co i gdzie miała kupić. Droga wydała się bardzo krótką pani Jones.

Dama weszła z nimi do kapelusznika, który się jej grzecznie ukłonił. Poprosiła go o tani kapelusik na małą główkę. Ale nie było rzeczą łatwą dla kupca powziąć wyobrażenie o wielkości tej główki, bo mały łotrzyk zupełnie już oswojony chował się za damę.

— Benny — zawołała matka, — chodź tu! Benny pokazał tylko błękitne oko między czerwoną chustką i suknią damy.

— Ta pani oczarowała go — rzekł stary Ben. — Zostaw go. Dama spojrzała na swój zegarek. — Muszę was opuścić moje państwo — rzekła — widzę, że się już spóźnię. Kupiec każe zatrzymać omnibus Roxbourski. Mam bilety z sobą.. otoż macie państwo dwa, jeśli się wam zdadzą.

— Nie mogę przyjąć darmo — odpowiedział Ben. — Może one pani są potrzebne?

— Nie, mam ich więcej.

— Jeśli tak, to zwrócę pani to co one kosztują — rzekł Ben — wyjmując swój worek skórzany.

— Nie, nie — rzekła dama z uśmiechem. — Żegnam państwa. I wyszła ze sklepu. Ben powiódł za nią oczyma, i zapomniał zupełnie o kapeluszu. Zdało mu się, iż jedna z gwiazd znikła z firmamentu.

— Dalibóg — rzekł — to najprawdziwsza dama jaką kiedykolwiek widziałem.

Żona jego ocierała oczy, jakby straciła przyjaciółkę, tak się czuła osamotnioną w tem wielkim mieście.

— Jakiego rodzaju kapelusza państwo sobie życzą? — zapytał kupiec z za kantoru swego. Ten nie miał czasu na uczciwość.

— Coś nie drogiego — byle nakryć głowę dziecka — odpowiedział ojciec.

Po długich targach kupiec wetknął im kapelusz włoski, wcale brzydki za który wymógł dollara.

Zadowoleni nie więcej jak w połowie, wyszli ze sklepu w chwili gdy omnibus nadjeżdżał. Wszyscy pragnęli znów obaczyć dobrą damę, bo zdawało się im, że dzień przestał oświecać im drogę od kiedy ona ich opuściła. Pani Jones szukała ją wzrokiem wśród tłumu zalegającego boczne ulice. Co do Ben'a, skończył na tem, iż odzyskał swój zwykły dobry humor, i zaczął robić uwagi nad miastem i przechodzącymi. Te uwagi pocieszne pobudzały do wesołości podróżnych omnibusowych. Jakiś jegomość rozpoczął z nim gawędę. Ben zaraz mu rozpowiedział dla czego przyjechał do Bostonu i gdzie się teraz udaje.

— Jeśli pan jedziesz na ulicę T. — zauważał jegomość — trzeba panu wkrótce wysiąść.

— Wiem o tem dobrze — rzekł Ben — ale jakże się to robi żeby zatrzymać ten powóz. Nie jestem wcale przyzwyczajonym do tego sposobu przewożenia się, i nie przypominam sobie, czym kiedy siedział w omnibusie przed dzisiejszym dniem.

— Każę zatrzymać dla pana — rzekł jegomość.

Ben i rodzina jego wysiedli szczęśliwie przy ulicy T. Znaleźli z łatwością dom który szukali. (D. n.)

Rozmaitości.

* Pan Józef Lewiński, artysta dramatyczny z Wiednia, o którego przybyciu do Lwowa donosiliśmy w ostatnim czasie, pożegnał nas już po sześciu występach gościnnych. Mogliśmy tedy dostatecznie poznać tego aktora, zwłaszcza, że p. Lewiński wybrał na swoje występy najró-

żnorodniejsze role popisowe. Shakespear, Sziller, Göthe, Lessing, Moliere, Laube, oto pole dla genjusza! W utworach tych mistrzów widzieliśmy p. Lewińskiego ucieleśniającego ich nieśmiertelne pomysły i wykrzyknąć musimy — to także mistrz! Coż to był za Hamlet! Jakie zrozumienie, do najdrobniejszych szczegółów! jakie oddanie! To też z prawdziwym żalem wypada nam się pożegnać z tym artystą — chociaż mamy nadzieję, że entuzjazm z jakim go przyjmowano każdego wieczoru i niekłamana sympatja naszej publiczności dla niego, będą p. Lewińskiemu bodźcem do odwiedzenia nas jeszcze niejednokrotnego.

* Dnia 11. lipca wieczorem, przybył do naszego miasta nuncjusz papiezki bisk. ateń. Falcinelli, w towarzystwie wszystkich arcybiskupów lwowskich i delegatów trzech naszych kapituł. Na peronie jakoteż na placu metropolii ruskiej oczekiwało jego przybycia mnóstwo ciekawych. Gmach metropolii z kościołem Świętojerzskim jakoteż gmach Sacre-coeur jaśniały tysiącami świateł, a na samo przybycie kardynała zapalono na placu i w gmachu metropolli ognie bengalskie i dano salwy moździerzowe. Dzwony huczały przez cały czas przyjęcia — procesje wystąpiły uroczyście, a chóry alumnów odśpiewały „*Mnohaja lita*“. Nuncjusz z balkonu rezydencji biskupiej błogosławił ludowi na zakończenie.

Nazajutrz, 12. odbyło się w kościele św. Jura nabożeństwo solenne na cześć błogosławionego Jozefata Kuncewicza, który to dzień staje się odtąd pamiątką tego świętego.

W poniedziałek, 13. odbyła się w tejże cerkwi konsekracja ks. Kuziemskiego na biskupa chełmskiego.

* W pierwszych dniach b. m. zmarł nagle w Poznaniu młody człowiek, a jak doświadczenie lekarskie okazało — na trychiny. Z ciała jego posłano kilka kawałków profesorowi Virchow w Berlinie. Sławny ten anatomista znalazł również w częściach ciała zmarłego trychiny a zatem potwierdził mikroskopiczne badanie trzech lekarzy Poznańskich.

* W Wormacji odbyła się dnia 25. czerwca uroczystość odsłonienia pomniku Lutra. Przybył na nią król pruski Wilhelm z następcą tronu i większa część protestanckich książąt niemieckich, oprócz kilkudziesięciu tysięcy ludu. Pomnik wykonany jest przez drezdeńskiego rzeźbiarza Rietschla i jego uczniów. W środku wznosi się posąg Lutra, a około niego są posągi innych reformatorów: Piotra Waldusa, Jana Wiklefa, Jana Husa i Hieronima Savanaroli.

* Nitro-gliceryna posiadająca wyższą siłę wybuchową niż proch, używaną teraz bywa powszechnie do rozsadzania skał. Obszerniejsze z niej korzystanie utrudnione jest niezmiernemi ostrożnościami, jakie zachować należy, by do wybuchu za jakiem silniejszem wstrząśnieniem nie przyszło; mięszanie jej z tłuszczem a potem oddzielanie za pomocą wody ma także liczne niedogodności. Usuwa je wynaleziony sposób przeprowadzenia nitrogliceryny ze stanu płynnego w stan suchego proszku; już dziś myślą o tem, ażeby tego proszku używać zamiast zwykłego prochu do celów wojennych a mianowicie do dział. Niezmierna siła wybuchowo nitro-gliceryny zmusiłaby wprawdzie do robienia dział mocniejszych niż dzisiejsze; ale za to wróżą, że z mniejszego niż używany dotąd kalibru dział możnaby dziurawić pancerze okrętów żelazem osłoniętych, przy czemby zyskiwało się i na czasie, którego stosunkowo wiele wymaga zwykłe nabijanie olbrzymich dział, na okrętach używanych. Tak więc każdą zdobycz nauki obracają ludzie na swoją korzyść dodatnią i ujemną.

* Majątek księcia Michała. Po zamordowanym księciu znaleziono w gotówce 132.000 sztuk dukatów, w obligacjach indemnizacyjnych (włoskich) 140.000 dukatów, honorowa szabla ojca wartości 35.000 dukatów, domy, grunta, stadnina, powozy, srebrny serwis itp. 200.000 dukatów, razem około 500.000 dukatów. Cały ten majątek pozostawili spadkobiercy księciu Milanowi, z tym obowiązkiem, aby synowi naturalnemu księcia płacił rocznie 3.000 dukatów. Na Wołoszczyznie posiadał książe majątek ziemski wartości 1,360.000 dukatów, który przeszedł na własność dzieci jego siostry z tym warunkiem, aby wdowie księcia dawniej już wypłacana pensya roczna 5.400 dukatów nadal je obowiązywała. Księżna Julia — lubo nie żyła ze swym mężem — gdy jednak sądowna seperacja miejsca nie miała, jako prawowita wdowa ma prawo do dożywocia.

* Nowe oświetlenie Paryża. Od niejakiego czasu tłumy ludu gromadzą się co wieczór przed ratuszem w Paryżu, przypatrując się nowemu sposobowi oświetlenia. Cztery wielkie świeczniki płoną światłem, obok którego światło zwykłe gazowe wydaje się być mdłem i brudnem. Nowe to światło ma siłę i białość światła elektrycznego, a mniej od niego razi oczy. Według obliczeń fotometrycznych, siła tych latarń przechodzi 60 razy siłę płomienia gazowego tej samej wielkości. Światło to pochodzi z płomienia zwykłego gazu latarniowego, to jest, wodorodo-węglistego, zetkniętego z kwasorodem czyli tlenem. Jedną rurą wchodzi do latarni jeden gaz, drugą drugi, i oba okrążają pręcik z magnezji palonej, to jest wolnej od wody, która lepszą jest niż wapno, kruszące się i rozpadające w ogniu. Płomień, trzymając się ciała stałego, nie migoce się jak płomień latarni gazowej, lecz trzyma się równo bez względu na wiatr. Nie było wcale tajną rzeczą, bo należy to do elementarza chemicznego, że połączenie kwasorodu z wodorodem tworzy wodę, przyczem wywiązuje się najtęższy znany dotąd ogień i światło. Dla tego jednak dotychczas nie korzystano z tego wynalazku, że wydobywanie kwasorodu było bardzo kosztownem. Otoż francuzki chemik Tessier de Mothay wynalazł sposób dobywania go stosunkowo tanim kosztem, a wynalazek jego może sprawić zupełną rewolucję we wszystkich gałęziach nauki i przemysłu, wymagających wielkiego ciepła i światła. Według dzienników paryskich, p. Tessier wydobywa następnie tlen czyli kwasoród: rozgrzewa on w parze wodnej, doprowadzonej do 450° C. (t. j. 360° R.), zawartej w retorcie żelaznej manganam sody, który w wielkiem gorącu oddaje zbytek kwasorodu jaki w sobie mieści, stygnąc zaś, chwyta też samą ilość jego z powietrza, które w miejsce pary wodnej wpuszczanem bywa rozgrzane do retorty. Tak więc manganam sody wciąż się odkwasza i ukwasza. Narząd ten stoi w piwnicy ratusza paryskiego. Jest tam piec z retortami, mała machina parowa wpuszczająca do retort na przemian przegrzaną parę wodną i gorący prąd powietrza, kondensator, w którym się oddziela kwasoród od pary wodnej w wodę się zamieniającej, gazometer i t. d. Zamiast czystego wodorodu wystarcza tu gaz wodorodny węglisty, jaki zwykle się używa do latarń gazowych. Metr sześcienny kwasorodu kosztuje w tym narządzie 75 centimów, tak iż skutkiem połączenia kwasorodu i wodorodu w latarni, za połowę ceny dzisiejszego gazu latarniowego można mieć trzy razy większe światło. — Nie tylko zaś w Paryżu robiono próbę z tego rodzaju oświetleniem. Dnia 29. czerwca robiono ją także w Warszawie w pracowni fizycznej Szkoły głównej w obecności wielu osób. Próbę odbywał profesor technologii hr. Julian Łubieński, i objaśnił takową. Według obliczeń rzeczonego profesora, 60 stóp sześciennych gazu wodorodno-węglistego i 70 stóp sześciennych kwasorodu, spalone, dają tyle światła, co 600 stóp sześciennych zwykłego gazu oświetlającego.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.